

**Dorota Danielewicz**

Berlin

## **Obfitość, czyli życie w wielu kodach językowych**

Piszę ten tekst w szczególnych czasach, kiedy jestem świadkiem przyjazdu setek tysięcy uchodźców z Ukrainy do Berlina. Wsiadają na dworcu głównym, z walizkami i torbami, niepewni, pozbawieni możliwości rychłego powrotu do domu – przynajmniej na następne miesiące, jeżeli nie lata. Wypadnie im żyć w kraju, do którego nie chcieli emigrować, którego języka i kultury nie znają. Przypomina mi się teraz, chcąc nie chcąc, mój przyjazd do Berlina. Był podobny, choć nie w tak dramatycznych okolicznościach, jak aktualna wojna na terenie Ukrainy. Nie uciekaliśmy przed bombami niszczącymi nasze domy, nie pozostawialiśmy w kraju braci, ojców i mężów narażających swoje życie w obronie ojczyzny. Mimo to nigdy nie zapomnę nocy z drugiego na trzeciego lipca 1981 roku, zapchanego podróżnymi i walizkami pociągu do Berlina, ostrej kontroli paszportów i bagaży, enerdowskich pograniczników z kałasznikowami przewieszonymi przez ramię na dworcu Friedrichstraße.

Widząc matki z dziećmi wsiadające z pociągu w tych dniach, widzę moją matkę, siebie i moją siostrę, jak wczesnym rankiem wsiadamy na dworcu Zoo w Berlinie Zachodnim. Rodzice zataili przede mną decyzję wyjazdu z Polski na stałe. Ojciec przebywał w Berlinie już od trzech tygodni. Nasze przytulne poznańskie mieszkanie zamieniliśmy na kilka miesięcy na obóz dla przesiedleńców na Marienfelder Allee. Tam znów dowiedziałam się, że rodzice będą ubiegać się o obywatelstwo niemieckie – druga rewelacja, niemniej szokująca, gdyż byłam bardzo przywiązana do idei własnej polskości. Nagle okazało się, że istnieją jakieś przesłanki rodzinne wskazujące na niemieckie pochodzenie.

Uchodźcy z Ukrainy nigdy nie pragnęli zostawić swoich domów w Kijowie, Mariupolu czy Charkowie i zacząć od nowa życie w Berlinie. Na razie znajdują się w stanie oczekiwania na powrót, w nadziei na koniec wojny. W miejscach, które stały się tymczasowym schronieniem, pragną bardziej przetrwać niż doświadczyć losu feniksa wznoszącego się z popiołów. Stan oczekiwania na powrót do starego życia jest stanem naturalnym dla uchodźcy czy emigranta z przymusu. Pamiętam, jak w pierwszych miesiącach w Berlinie wstawałam rano, chodziłam na lekcje języka niemieckiego, jadłam śniadanie na przerwie, ale przez wiele miesięcy czułam się jak na przedłużonych wakacjach. To nie była moja szkoła, moi nauczyciele, moje koleżanki i koledzy z klasy. Ktoś wstawił mnie do niewłaściwego filmu, zabrał mi dotychczasową rolę, ale nie dostarczył nowego scenariusza! Rzeczywistość, która mnie otaczała, zdawała się nie mieć nic do czynienia z moim prawdziwym życiem.

Nie byłam w stanie planować przyszłości i tak, jak siła wyższa w postaci decyzji rodziców zdecydowała o moim losie, tak i ja straciłam sprawczość. Znajdowałam się w stanie szoku. W mojej książce *Berlin. Przewodnik po duszy miasta* (Wydawnictwo W.A.B. 2013) przywołuję metaforę dżungli, w której się nagle znalazłam, bez kompasu i znanych, przetartych dróg. Nie miałam celu w życiu, nie wiedziałam, kim chcę być. Wszystkie plany związane były z Poznaniem. Cierpiałam z powodu „utruty języka” – tak nazywałam przejście na język niemiecki. Już wtedy pisałam wiersze i prozę, wiązałam swoją przyszłość z literaturą. A więc kłapa na całej linii, już nigdy nic nie napiszę!

Aktywność rodziców w wyszukiwaniu dokumentów potwierdzających niemieckie pochodzenie rodziny zaowocowała po kilku miesiącach uznaniem naszej rodziny jako przesiedleńców, tak zwanych „Spätaussiedler”. Gdzieś w szufladzie mam taki mały zielony dowód, A-Ausweis, który otrzymywał każdy, komu udało się przejść wymagającą drogę przez urzędy. Ale najważniejszy był Personalausweis. Pamiętam, jak bardzo czułam się zażenowana przy podpisywaniu przyjęcia niemieckiego obywatelstwa, moment ten odczuwałam jako zdradę stanu. Przecież wychowano mnie w komunistycznym patriotyzmie, oglądałam jak wszyscy *Czterech pancernych i psa* i *Kapitana Klossa*. O Niemczech i niemieckiej kulturze wiedziałam tyle, ile pokazywano w tych serialach. Czyli prawie nic.

Z takiej sytuacji wynikają następujące pytania: od czego zależy przyjęcie tej nowej, narzuconej przez los rzeczywistości jako własnej, czyli kiedy i dlaczego dochodzi do integracji nowego życia w tok dawnego?

W jaki sposób i kiedy emigrant staje się dla swojego nowego otoczenia „swój”? Czy wystarczy dobra znajomość języka i nowy paszport? W jaki sposób emigrant staje się dla swojego dawnego otoczenia obcy?

Pytania te są stosunkowo proste, życie jednak jest bardziej skomplikowane. W pierwszych tygodniach pobytu w berlińskim obozie dla uchodźców i przesiedleńców zmuszona byłam określić swoją tożsamość wobec większości przebywających w nim rodzin pochodzących ze Śląska i odczuwających emigrację do Niemiec jako nagrodę. Z koleżankami ze śląskich rodzin nie wypadało rozmawiać na ulicy czy w busie po polsku, wstydziły się, mimo że jeszcze dobrze nie znały języka niemieckiego. Zresztą to samo przeżywam dziś z sąsiadką z Opola, która uparcie zwraca się na schodach do mnie po niemiecku, twierdząc, że zapomniała języka polskiego (a przyjechała do Niemiec później niż ja). Wracam do tzw. „łagru”. Czułam się tam obco, wpadałam w depresję po decyzji rodziców, że zostajemy w Berlinie, nie szukałam nowych znajomości pośród łagrowej młodzieży. W integracji pomógł mi przypadek – opisany w książce koncert *Tangerine Dream* przed Reichstagem, gdzie poznałam (komunikując się w języku angielskim) grupę niemieckich studentów. Peter, Thomas i Anna zaczęli pokazywać mi miasto, zapraszać na spotkania i to dla nich prowadziłam zeszyt ze słówkami, szlifując niemiecki, już niezależnie od kursów w szkole, w której jednym z pierwszych zadań było przestudiowanie mapy Europy z granicami Niemiec sprzed 1939 roku...

Kiedy po mniej więcej pół roku nauki przeszłam do niemieckiej klasy, doznałam kolejnego szoku kulturowego. Okazało się, że poza lekcjami wszyscy porozumiewają się berlińskim dialektem. Nie rozumiałam prawie nic! A więc kolejna bariera, którą muszę pokonać: aspekt lokalny. Zamiast „Ich” było „Icke”, zamiast „dir” było „dich”. Naprawdę myślałam, że oszaleję, tak wielkie rozczerowanie spotkało mnie, siedemnastolatkę dumną z bardzo dobrych wyników testów na kursie niemieckiego dla dzieci przesiedleńców. I wtedy nastąpił kolejny proces – przyswajania sobie dialektu, który tak naprawdę nigdy się nie zakończył. Oczywiście, dzisiaj rozumiem berliński i zdarza mi się zażartować w dialekcie, ale brzmi to sztucznie i staram się nie nadużywać slangu, który na dodatek brzmi inaczej w Berlinie Wschodnim i w Berlinie Zachodnim. Ale ta różnica to cała filozofia, w którą tutaj wolę się nie zagłębiać, ponieważ wymagałaby osobnego tekstu.

Opanowawszy jako tako język, zaczęłam – z konieczności – orientować się w kodach społecznych. Dzisiaj powiedziałabym, że studia kodów należą do długotrwałych i wymagających. Przypisywanie ubioru do statusu społecznego i grupy zawodowej, stylu wypowiedzi do klasy i poziomu wykształcenia, poczucia humoru do pochodzenia i czytania – obcy w nowym kraju ma mnóstwo drobiazgów do ogarnięcia i powinien przede wszystkim polegać na intuicji. Nie ma takiego kursu w żadnej szkole językowej. W roku 1981 trzeba było zrozumieć niechęć lewicy do ładnych ubrań (niepojętą dla dziewczyny przybyłej z kraju o pustych sklepach), kultury amerykańskiej i Solidarności oraz namiętny stosunek prawicy do samochodów i autostrad oraz gotowość do pomocy polskim opozycjonistom. I przede wszystkim – Berlina Zachodniego nie należało utożsamiać ani z zachodnimi, ani z wschodnimi landami Niemiec. Często pytano mnie w Polsce, kiedy już mogłam podróżować do kraju mojego pochodzenia, jak to jest żyć w Niemczech, a ja tłumaczyłam, że Niemiec dobrze nie znam, bo zachodniobерlińska wyspa jest wyjątkowa. Podobnie, jak żyjąc w Nowym Jorku, usłyszałam (i zobaczyłam na własne oczy), że metropolia ta nie jest Ameryką. O wyjątkowości Berlina oraz różnicach w mentalności i stylu życia w różnych landach miałam okazję przekonać się podczas roku studiów w Monachium, odwiedzając siostrę i znajomych w Nadrenii – Westfalii oraz przemieszkując w Brandenburgii. Udało mi się poznać alemański karnawał i szwabską skrupulatność, północnoniemiecką powściągliwość i badeńską radość życia. Jednak w Niemczech zawsze czuję się bardzo polsko, a w Polsce – niemiecko. Mimo niemieckiego paszportu jestem w miejscu, w którym mieszkam od przeszło czterdziestu lat, chętniej postrzegana jako Polka, także zawodowo. Oczekuje się ode mnie – jako publicystki i osoby zaangażowanej publicznie – tłumaczenia „polskiej duszy” i kultury. Pamiętam, jak w Radiu RBB, w którym zdarzało mi się omawiać w niemieckiej redakcji Radia MultiKulti książki, koleżanka z redakcji zaproponowała, kiedy po raz któryś zajęłam się literaturą światową. Nie szkodziło, że omawiane przez mnie książki miały za temat doświadczenie migracji, a czasami nawet polski akcent – jak *W Ameryce* Susann Sonntag. „Powinnaś zajmować się wyłącznie polskimi książkami” – stwierdziła na korytarzu radia redakcyjna koleżanka, Niemka, która właśnie napisała recenzję książki holenderskiego

autora. Dodam jeszcze, że z wykształcenia była prawniczką, a ja – literaturoznawczynią. Mam wrażenie, że część moich niemieckich znajomych oczekuje ode mnie lepienia pierogów i adoracji Jana Pawła II. Kiedy jestem w Polsce, automatycznie jestem konfrontowana z pytaniami na temat Niemiec. Spodziewa się ode mnie ekspertyz na temat polityki, kuchni i ekonomii, zarzuca uprzedzeniami lub to pochwałami, nierzadko przyjmując, że utożsamiam się z ideami czołowych niemieckich polityków. W ostatnich latach, kiedy prawie (o absurdzie ludzkiej percepcji!) utożsamiano mnie z Angelą Merkel, rozczarowywałam polskich partnerów w rozmowie moim dystansem do partii chadeków. Więc w Polsce staję się Niemką, której w Niemczech się we mnie nie widzi, ponieważ w Berlinie mam być Polką i koniec. Dla polskich mediów piszę o Berlinie i niemieckiej literaturze, dla niemieckich – odwrotnie.

Moja niemiecka koleżanka, znakomita tłumaczka z języka polskiego zna język polski tak dobrze, że mówi prawie bez akcentu. Często przebywa w Polsce, ma tam dom na wsi. Kiedy jest pytana, dlaczego tak dobrze mówi po polsku, odpowiada, że po prostu się nauczyła. Wtedy rozmówcy drążą dalej (jak sama mówi, zna już doskonale tok stawianych pytań, bo zawsze jest tak samo). Ale rodzice może z Polski? Antje odpowiada, że nie. No to może babcia czy dziadek?, pytają z niedowierzaniem. Antje zaprzecza, czym budzi jeszcze większą konsternację. No bo dlaczego Niemka ma tak sama z siebie mówić dobrze po polsku?

Kiedy ja, mieszkająca od przeszło czterdziestu lat w Niemczech, jestem pytana, dlaczego mówię z akcentem i skąd jestem, odpowiadam, że ze Steglitz, dzielnicy, w której mieszkam od lat dwudziestu pięciu (w Poznaniu, mieście urodzenia, mieszkałam lat szesnaście). Na ogół odpowiedź ta nie zadowala rozmówcy i jestem dalej wypytywana: ale skąd naprawdę jestem, tak naprawdę, naprawdę. No dobrze, wtedy mówię, że przyjechałam w 1981 roku z Poznania. Szczytem konwersacji bywa komplement, że bardzo dobrze mówię po niemiecku. A jak mam, do cholery, mówić po tylu latach w tym kraju? Jak się zdenerwuję, dodaję wtedy, że piszę do gazet i pracuję dla radia i chyba muszę znać język, ale to jest za dużo dobrego i pytający wpada w niemiłe zakłopotanie. Bywa, że zbyt dobra integracja odbierana jest jako osobisty afront.

Oczywistym znakiem asymilacji jest możliwość uczestniczenia w wyborach. Obywatelstwo niemieckie umożliwia mi aktywny wpływ na politykę, co różni mnie od emigrantów nieposiadających tego statusu. Ponieważ jestem upoważniona do brania udziału w wyborach, posiadam ten przywilej, pozwalający mi na poczucie się częścią społeczeństwa, w którym przyszło mi żyć.

Jest istotna różnica pomiędzy zmianą adresu i przyjęciem nowego obywatelstwa a statusem uchodźcy bez obywatelstwa i choćby najmniejszej możliwości wpływu na politykę kraju zamieszkania. Czy można czuć się jak w domu, jeżeli jest się wykluczonym z ważnych decyzji podejmowanych przez większość społeczeństwa? Czy nie jest tak, że prawa mają wyłącznie posiadacze paszportów, obywatele danego kraju?

Warto tutaj przypomnieć tekst Bertolda Brechta z *Rozmów uchodźców*:

Der Pass ist der edelste Teil von einem Menschen.  
Er kommt auch nicht auf so eine einfache Weise zustande  
wie ein Mensch. Ein Mensch kann überall zustande kommen,  
auf die leichtsinnigste Art und ohne gescheiterten Grund,  
aber ein Pass niemals. Dafür wird er auch anerkannt, wenn er gut ist,  
während ein Mensch noch so gut sein kann und doch nicht anerkannt wird  
(1940/41).

Myśl wiecznie aktualna i nie sposób myśleć o niej, obserwując z jednej strony serdeczne przyjęcie w krajach Unii Europejskiej uchodźców z Ukrainy, z drugiej – wysoki płot z drutem kolczastym na granicy z Białorusią, postawiony w celu zatrzymania uchodźców z niewłaściwym paszportem z Syrii, Iraku czy Afganistanu.

Bycie migrantem bez dokumentów to życie, przynajmniej częściowo, poza systemem. Czy można wtedy w kraju migracji poczuć się jak u siebie?

„Dom to miejsce, w którym jest się bezpiecznym, w którym jest się potrzebnym i docenionym, miejsce, w którym można dać z siebie coś naprawdę ważnego, ale także miejsce, w którym, jeśli upadniesz, ktoś ci zawsze pomoże”, pisze amerykańska pisarka Masha Gessen w książce *Leben im Exil* (Suhrkamp, 2020). Ten ostatni aspekt – pomocy – wydaje mi się niezwykle istotny. Emigranci często budują wspólnoty równoległe, tak jak tureccy czy wietnamscy mieszkańcy Berlina, żyjący we własnych strukturach społecznych. W tych strukturach uzyskują wsparcie i pomoc, a rola struktur niemieckich ogranicza się do dystrybucji przywilejów socjalnych. Jeżeli chodzi o moje osobiste doświadczenie – od dnia, w którym spotkałam grupę Berlińczyków na koncercie przed Reichstagiem, rzeczywiście dostałam dużo wsparcia od Niemców. Przez wiele lat nie uczestniczyłam w życiu polskiej emigracji, ograniczając swoje kontakty z Polonią do sporadycznych wizyt w księgarni polskiej. Mimo że w pierwszych latach pobytu w Berlinie bardzo tęskniłam za Poznaniem, a z powodu stanu wojennego brakowało mi kontaktów z przyjaciółmi i rodziną, zdecydowałam się na pełną integrację. Po początkowej depresji chciałam żyć tu i teraz. Zmieniłam szkołę na taką, w której nie miałam kontaktu z innymi migrantami z Polski, weszłam w związek z niemieckim studentem i z przyjemnością przebywałam w jego muzycznej rodzinie chłonąc *german style of life*. Trafiłam bardzo dobrze, gdyż rodzina ta reprezentowała to, co najlepsze: wyrafinowany gust muzyczny, literacki i artystyczny. Poznałam tak meble Bauhausu, filharmonię i zwyczaj domowych koncertów, sztukę berlińskich artystów i spędzanie czasu na grach towarzyskich. To wszystko bardzo mi się podobało i pomagało znieść tęsknotę za domem. Bo dom przez wiele lat jeszcze nadal kojarzyłam z Poznaniem.

Od kiedy Berlin stał się moim domem? Pamiętam dzień, kiedy wjeżdżałam pociągiem na dworzec ZOO i widząc znajome budynki, poczułam, że wracam... do domu właśnie. Stało się to pod koniec lat osiemdziesiątych, po tym, jak zaczęłam ponownie mieć możliwość podróży do Polski. Z wielką radością jeździłam nie tylko do Poznania, zwiedzałam Kraków i Warszawę, pojechałam i do Gdańska, złożyć kwiaty

pod pomnikiem przed stoczną. Podczas tych podróży zauważyłam, że Polska już nie jest tym krajem, który opuściłam, albo że ja nie jestem już tą Dorotą, która w 1981 roku wyjechała z Poznania. Nowa, zmieniona przez życie w Berlinie Dorota przyjeżdżała do innej Polski, stała się turystką w kraju swojego urodzenia. Ni pies, ni wydra, jak powiadała moja mama. Kiedy wypowiadałam słowo „Polska”, poprawiano mnie, że zbyt gardłowo mówię „o”. Powtarzałam „Polska, Polska” i ciągle było coś nie tak. Za to w niemieckim nadal miałam problem z prawidłową wymową umlautów. Kiedy zwrócono mi uwagę na to gardłowe, niepolskie „o”, zauważyłam, że jestem w niebezpieczeństwie utraty języka dzieciństwa, mojej *Muttersprache*. Język ojczysty wydaje mi się mniej adekwatnym określeniem. Przecież pierwszych słów uczymy się na ogół od matki, a więc język matczyny, pierwotny język krainy dzieciństwa to *Muttersprache*. Pamiętam przesilenie w krtani w pierwszych miesiącach intensywnego mówienia po niemiecku. Już po godzinie konwersacji czułam, że używam mięśni, które dotychczas były mi nieznane. Niemiecki był jak trening na siłowni na nowych maszynach, które aktywizowały mięśnie leżące odłogiem. Język polski czuje się dobrze w jamie ustnej, pomiędzy zębami. Nieraz strzela jak kałasznikow z czubka języka, to znów szumi i mlaszcze pomiędzy podniebieniem a językowym materacem. Niemieckie głoski wytwarzane są głębiej, niemiecki wyłania się na świat jak wiadro pełne wody zaczerpniętej ze studni zwanej krtanią. Moje polskie „o” zamieniło się po kilku latach w okrągłą cembrowinę germańskiej studni.

Dobra znajomość języka pociąga za sobą chęć głębszego poznania kultury. Uczęszczałam w Berlinie do gimnazjum i moją pierwszą, własnoręcznie napisaną klasówką była praca na temat poematu o Baalu Bertolda Brechta.

Das ist das Paradies der Hölle! Ja, das ist das Paradies. Es bleibt einem kein Wunsch unerfüllt. Man hat keinen mehr. Es wird einem alles abgewöhnt. Auch die Wünsche. So wird man frei (Bertold Brecht, *Choral vom großen Baal*).

Pracę napisałam na dwa plus, nauczyciel musiał odjąć punkty za błędy. A więc pełen sukces! *Od wszystkiego jesteśmy odzwyczajani...* Słowa Brechta poruszyły moje emigranckie serce. Jeśli zabrano mi Poznań i „o”, to znaczy, że staję się wolna! Z czasem pozbywałam się warstwa po warstwie efektów komunistycznego wychowania w duchu wiecznej wojny światowej, która jawiła się stanem permanentnym. Dorota Masłowska znakomicie oddała atmosferę powracających wspomnień wojennych w swojej sztuce *Między nami dobrze jest*. Ktoś puka do drzwi... *Kto to? Druga wojna światowa*. Dopiero w Berlinie uświadomiłam sobie, że moim najważniejszym celem w życiu było umrzeć za ojczyznę w jakiejś bliżej nieokreślonej bitwie. Ale za co miałam umierać w Berlinie? Tutaj wojna nie pukała niespodziewanie do drzwi, ona była raczej jak mumia, wystawiana w muzeum sztuki egipskiej, mierzona i badana przez rzesze historyków i politologów.

Następnie poznałam powieści Maxa Frischa, sztuki Fryderyka Schillera (Goethego już liznęłam w polskim tłumaczeniu, czytałam *Powinowactwa z wyboru*), a na końcu edukacji szkolnej psychoanalizę Zygmunta Freuda. Chodziłam do szczególnie szkoły, w której mieliśmy profil psychologiczny, więc skorzystałam z oferty

i zdawałam maturę z psychologii. Koncept „tego”, „ja” i „nad-ja” zrobił na mnie wielkie wrażenie i uzmysłowił mi, iż pragnienie złożenia siebie w ofierze w tej „bliżej nieokreślonej bitwie” było częścią wpojonego mi w polskiej szkole „nad-ja”. „To” utożsamiałam z Baalem. Pozostało mi zajęcie się „ja” czyli „Ich” czyli po berlińsku „Icke”.

Na studiach z pasją oddałam się studiowaniu wszystkiego, co wiązało się z dwujęzycznością. Moja praca magisterska nosi tytuł *Autoprzełtad jako trzeci byt literatury*. Zajęłam się w niej prozą Stanisława Przybyszewskiego i Tadeusza Rittnera. Fascynowało mnie pytanie, czy język zmienia świadomość i czy zmieniamy charakter, używając różnych języków? Podobno pobożnym chasydom nie wypadało znać innych liter niż hebrajskie, alfabet łaciński i cyrylicę określali jako niebezpieczne dla duszy... Kiedyś wpadła mi w ręce książka Amerykanki polskiego pochodzenia Ewy Hoffmann pod tytułem *Lost in translation*. Ewa Hoffmann zadaje sobie pytanie o związek języka z tożsamością i dochodzi do wniosku, że ona sama jednak inaczej funkcjonuje w językach angielskim i polskim. Najpierw poddałam się jej sugestii, obserwując „ja” i „ich”, aby po latach przyjąć, że jeśli język pierwszy, Muttersprache, to „to”, to język nabyty, drugi, to „nad-ja”. A ja, ich, icke? Jestem pomiędzy, ale w końcu to ja decyduję, kiedy czerpać z germańskiej studni, a kiedy przytulić się do kołdry polszczyzny. I nie odczuwam różnicy w tożsamości, jedynie komfort pisania mam nadal większy w polszczyźnie niż w niemczyźnie.

Ale uwaga, te dwa języki to nie wszystko. Lubię także mówić po angielsku, na studiach zgłębiłam rosyjski i uczyłam się hiszpańskiego, zajęcia z francuskiego miałam w gimnazjum. Kiedyś zakochałam się po czesku, a przez studentkę z Sycylii mieszkającą dość długo u nas w domu oswoiłam się z włoskim. Dzisiaj przechodzę przez fazy – bywa, że mieszam wszystkie znane mi języki, pracując po niemiecku, zapominam angielskiego i germanizuję polski, a ostatnio miałam okazję używać intensywnie rosyjskiego, pracując nad książką o Białorusi, pisaną w języku niemieckim. W tym językowym mętliku czuję się dobrze i nareszcie przestałam oczekiwać od siebie perfekcjonizmu. Według przekonań chasydów zatem mam prawdopodobnie zepsutą duszę. Ale na szczęście nie jestem chasydką, więc się za bardzo nie przejmuję.

Wracając do tematu zaznajamiania się z kulturą. Jeśli chodzi o kulturę wysoką, to wszystko jasne – wielkie nazwiska mówią coś nawet osobom niezajmującym się zawodowo publicystyką. Goethe, Mickiewicz, Grass, Miłosz, Wajda i Holland, Richter i Witkacy...Tutaj łatwo się odnaleźć i z podniesioną przyłbicą udawać znawcę. O wiele gorzej ma się sprawa z rozrywką, kulturą masową, gdyż nie daje się jej łatwo przenieść na obcy grunt. Wbrew pozorom, to w kulturze masowej przebiegają autentyczne mury nie do rozwalenia. Nie piszę o tej rodem z Hollywood i o filmach, które dzisiaj wszyscy oglądamy na kanale Netflix. Wychowałam się z Panem Samochodzikiem i Tomkiem objeżdżającym świat, z panną z mokrą głową i serialem *Wojna Domowa* oraz *Czterdziestolatkiem*. Po zachodniej stronie Odry nikt tych książek i filmów nie zna i nie pozna. Ostatnio pokazywałam wspomnianej już tutaj Antje piosenkę Rosiewiczza *Najwięcej witaminy*. Mimo iż polskim posługuje się od przeszło dwudziestu lat i jest tłumaczką literatury, nie znała tej piosenki, której

refren śpiewa każda Polka. Ja zauważam podobne luki, natykając się na wstawiane na Facebooku stare niemieckie szlagiery czy urywki z filmów. W rozmowach milcząco, kiedy w towarzystwie omawia się zachodniemieckie seriale z lat 70. Ale już od lat 80. i ja oglądałam w sobotę *Verstehen sie Spaß* z Thomasem Gottschalkiem i niedzielny *Tatort* z niezapomnianym Goetzem Gerge w roli Horsta Schimanskiego. Za to... zostałam pozbawiona możliwości poznawania kultury masowej w Polsce. Dzisiaj można nadrabiać zaległości, buszując po You Tube, ale nie kiedyś, 30 lat temu. Owszem, wysłuchałam *Oczy zielone* Zenka i dobrze się bawię z kabaretem Hrabi, ale tak naprawdę nie mam pojęcia o tym, czym żyją w Polsce masy. Bo przecież nie książkami Olgi Tokarczuk. Od dawna nie znam nazwisk polskich aktorek z pierwszych stron gazet. Ta lekka ułomność osób żyjących w dwóch kulturach jest nie do nadrobienia, z tym po prostu trzeba żyć.

W Niemczech kilkanaście lat temu pojawiło się pojęcie tzw. „deutsche Leitkultur” czyli kultury przewodniej. W prasie zawrzało i dyskutowano o tym, czy migranci na terenie Niemiec nie powinni dostosować się do tej „Leitkultur”. Ale nie określono bliżej, czy „Leitkultur” to niedzielny kryminał z serii *Tatort*, przestrzeganie praw kobiet czy znajomość Goethego i Schillera? Nowy, prawicowy ruch – Identitäre (Tożsamościowcy) ma na sztandarach wypisaną obronę niemieckiej tożsamości i kultury, a ludzie angażujący się w działania tego ruchu obawiają się „przejęcia” Niemiec przez obce wpływy, tradycje i religie.

Przez bez mała rok mieszkałam w Nowym Jorku. Pracowałam w ONZ jako przewodniczka, oprowadzająca turystów z całego świata po kwaterze głównej, specjalnych wystawach i salach rad – bezpieczeństwa, dekolonizacji, zgromadzenia generalnego. Dobrze się czułam w miejscu, w którym reprezentowane były narody całego świata. Tam wielokrotnie podczas wycieczek pytano mnie, skąd jestem. Kiedy mówiłam: „I am from Poland”, powtarzano „aaa, from Holland!”. No i rzeczywiście, Holland czy Poland, dla mieszkańca Stanów wszystko jedno, chodziło o to, że pochodzę skądś z Europy. I w USA właśnie, w roku 1987 chyba, poczułam się po raz pierwszy w życiu ani nie Polką, ani nie Niemką, a po prostu Europejką. Z perspektywy innego kontynentu odległość pomiędzy Poznaniem a Berlinem skurczyła się do żabiego skoku. Dramat emigracji na odległość zaledwie trzystu kilometrów stał się po prostu śmieszny. Coś innego jednak zaskoczyło mnie i powaliło swoją prostą prawdą. Kiedy przebywałam w Nowym Jorku, pracując w języku angielskim, język niemiecki zaczął zanikać, chować się za jakąś przedziwną mgłą, tak jakby moja pamięć postanowiła odłożyć go do lamusa. Za to miałam często intensywne sny po polsku i przypominałam sobie dawno nieużywane zwroty i słowa. Lecąc samolotem ze Stanów do Berlina, spoglądając przez okno, znalazłam porównanie dla życia w różnych językach: te nabyte, nawet jeśli używa się ich przez lata, lubi, zna i ceni, przechodzą jak obłoki przesuwane wiatrem po niebie. Natomiast język dzieciństwa przypomina słońce, które świeci zawsze, nawet wówczas, kiedy jest ukryte za chmurami.





Dorota Danielewicz (rocznik 1964) – urodzona w Poznaniu publicystka, pisarka, tłumaczka oraz animatorka kultury. Od roku 1981 mieszka w Berlinie Zachodnim, gdzie ukończyła slawistykę i etnologię na Wolnym Uniwersytecie (FU). Była berlińską korespondentką sekcji polskiej radia RFI w Paryżu. Przez wiele lat współpracowała z Radiem Multikulti (rbb) oraz Funkhaus Europa (WDR) jako redaktorka, spikerka i prowadząca comiesięczny „Magazyn Literacki”. Od roku 1989 inicjowała i organizowała w Berlinie polsko-niemieckie spotkania literackie,

współpracując z takim instytucjami, jak: Literarisches Colloquium Berlin, Literaturforum im Brecht Haus, Künstlerhaus Wiewersdorf, Akademie der Künste czy Künstlerprogramm des DAAD. W roku 2021 pełniła funkcję kuratorki nowego Polsko-Niemieckiego Forum Literackiego UNRAST Berlin (dla towarzystwa Berliner Literarische Aktion).

Dorota Danielewicz publikuje w języku niemieckim i polskim. W jej dorobku znajdują się m.in.: antologia poezji polskiej *Kochać to, co niewidzialne* (Gutke Verlag, 1998), antologia *Berlin. Polnische Perspektiven* (Berlin Story Verlag/PAN Berlin, 2009), opracowana wspólnie z historykiem Maciejem Górnym (w ramach wystawy o historii polskiej emigracji w Berlinie); *Berlin. Przewodnik po duszy miasta* (W.A.B., 2013), a w wersji niemieckiej – *Auf der Suche nach der Seele Berlins* (Europa Verlag, 2014); zbiór reportaży *Der weisse Gesang. Die mutigen Frauen der belarussischen Revolution* na temat kobiet zaangażowanych w protesty na Białorusi (Europa Verlag, 2021). W roku 2020 ukazała się jej książka *Droga Jana* (Wydawnictwo Literackie, 2020; wyd. w języku niemieckim nakładem Europa Verlag, 2022), za którą otrzymała tytuł Superbohaterki w plebiscycie „Wysokich Obcasów” 2020.